



Znicze pamięci

Marita Wieczorek

Wielu ludzi boi się chodzić po cmentarzach, omija je, jak potrafi, i woli o nich nie myśleć. Chociaż sama mam coraz więcej powodów, by je odwiedzać, cmentarz jest mi miejscem bliskim, obytym, bo urodziłam się i dorastałam w jego pobliżu. Z okna widziałam jego rozległość, czułam panujący tam spokój, a w listopadzie przytulna łuna otwartych zniczy z kilkoma knotami rozświetlała noc do rana.

Okno pokoju zamieszkiwanego przeze mnie wraz z siostrami wychodziło na ulicę prowadzącą z Szarleja na cmentarz kalwaryjski, i tak się teraz owa nazywa – Kalwaryjska. Już od moich wczesnych lat (jestem najmłodsza z rodzeństwa), przeważnie rankiem, gdy obie siostry wyszły do szkoły, orkiestra dęta z kopalni „Julian” doprowadzała jadących na wieczny spoczynek z okolicznych bloków wokół parku, parafii bazyliki lub kościoła Świętej Trójcy na Szarleju. Z dala brzmiały jej smutne, ponure akordy, a ja, czasem jeszcze leżąc w łóżku, z napięciem czekałam, aż się zbliży,



muzyka wybrzmi pod oknem i powoli się oddali poza mur cmentarny. Bliskość pozwalała mi przeważnie towarzyszyć konduktowi do celu, a nawet również podczas ceremonii, zależnie od odległości pochówku. Najczęściej jednak czekałam, opierając się o parapet okna, na powolny przejazd wozu z trumną, kiedyś ciągniętego przez konie, później samochodu, i obserwowałam ludzi dążących w milczeniu za księdzem, najpierw najbliższe osoby, za czołówką dalsza rodzina, sąsiedzi i znajomi. W moim zainteresowaniu nie było lęku przed końcem, obawy przed stratą bliskich, była fascynacja atmosferą i tajemnicą.

Muzyka orkiestry kopalnianej do dziś mnie urzeka i wprowadza w nastrój dzieciństwa. Szukam jej utworów pogrzebowych na taśmie MC, płycie CD lub innym medium, niestety bez skutku. Obecnie w Internecie można znaleźć podobne z innych miast, lecz dotychczas nie trafiłam na odpowiednie.

Jeden z pierwszych kontaktów ze śmiercią miałam u sąsiadki, gdy zmarł jej mąż. Poszliśmy z rodzicami złożyć kondolencje do ich mieszkania. Stałam przy otwartej trumnie – wtedy to było normalne – i trudno mi było uwierzyć, że ten miły pan mieszkający nad nami nigdy już nie przemówi, nie pozdrowi czy się nie uśmiechnie. Gdy miałam niecałe cztery lata, w jednym roku zmarli obaj moi dziadkowie. Musiałam się bardzo smucić i przejać, bo tak wyglądałam na zdjęciach. W rodzinie uważa się, że jestem do jednego z nich podobna. Pamiętam kilka chwil przeżytych razem, aż tak nagle zniknęli z mojego zasięgu i placu za-



baw. Również oni po śmierci zostali przetrzymani do pogrzebu w domach babć. Jeden leżał w trumnie w łazience, nad wanną, dopóki wszyscy bliscy nie pożegnali go przed pochówkiem; przychodzili sąsiedzi, przewijali się znajomi z okolic i daleka. Inne doświadczenie z umarłym miałam z dalszym wujkiem owianym mistyczną aurą i wtedy doznałam dziwnego przeżycia graniczącego z magią zaświatów. Gdy stałam przy zmarłym, ktoś postanowił poprawić mu poduszkę pod głową, którą w tym celu lekko podniósł, z ust wypłynęła ciecz, a mnie się zdawało, że wujek otworzył oczy... Długo jeszcze byłam pod wrażeniem i przekonana, że był to jego znak w moją stronę. Wtedy, jako mała dziewczynka, nie miałam innego wytłumaczenia na to, co zauważyłam.

Mimo tej mojej dziwnej przypadłości jestem wdzięczna rodzinie, że nie zabraniali mi uczestnictwa w podobnych doświadczeniach i przez to nie zdemonizowali faktu przemijania, a pozwolili widzieć je jako naturalny tok wydarzeń, który jest częścią naszego życia. Do dziś cmentarz jest dla mnie miejscem pokory, duchowym i magicznym. Podróżując, we wszystkich krajach staram się zwiedzać nekropolie, bo obrazują one podejście narodu i kultury do końca żywota cielesnego i więzi ze zmarłymi.

Jako najmłodsze dziecko w domu już wcześniej towarzyszyłam mamie we wszystkich czynnościach, jak też na porannej mszy świętej na kalwarii, więc codziennie przechodziłam przez nasz cmentarz lub uczestniczyłam w pogrzebach, nawet nieznanym mi osób. Po wyjściu z kościoła



najczęściej zaczynałyśmy obchód sklepów od piekarni na ulicy Bytomskiej za bazyliką (dwa domy dalej chodziłyśmy do fryzjera ciąć na sucho, bo tak było taniej), tam mogłam wybrać sobie kołoczka, czyli drożdżówkę, do natychmiastowej konsumpcji; wtedy uwielbiałam te kwadratowe z marmoladą, których rogi były zawinięte do środka nad nadzieniem, lub amerykany. Następnie zaglądałyśmy do kolejnych spożywczych, by uezierać wszystkie produkty lub ewentualnie załapać się na coś specjalnego, lub zastawić kolejkę na konieczny produkt (lata 70.).

Kto mógł, „rezerwował” sobie miejsce w różnych kolejkach w sklepach, lokując tam członków rodziny, w tym nawet dzieci. Najczęściej stałam w piekarni naprzeciw kalwarii, czekając na dostawę chleba, i nigdy nie umiałam ocenić, ile osób jest przede mną, bo dopiero gdy padło hasło, że transport się zbliża, wpadali wszyscy, którzy „stali” w kolejce. Dlatego dojazd wypieków nie oznaczał końca czekania, lecz jedynie przesunięcie się do przodu w kierunku lady, a na „łup” czatowało się czasem do kolejnych dostaw.

Jednym z ostatnich miejsc zakupów był targ na placu za krzyżem (teraz tam stoją domki fińskie), gdzie można było trafić na pyszne jabłka malinówki. Potrafiłam zjeść kilogram sama, gdy byłam bez nadzoru. Dopiero niedawno trafiłam na podobny smak i też musiałam się opanować.

Warzywa i jarzyny kupowało się u ogrodnika między blokami, placem zabaw a cmentarzem. Tam mama wysyłała mnie samą, a ja nie potrafiłam się powstrzymać, by nie otworzyć po drodze mordek lwich paszczek, które rosły



przy ścieżce do kasy właściciela.

Latem chłopcy przeskakiwali przez płot lub szukali dziury, by iść na „raub”, i wynosili lub przerzucali nam dziewczynkom oberiba (kalarepę), marchew czy rzodkiewki o naturalnym, przepysznym smaku. Siadaliśmy na obudowie piaskownicy lub huśtawkach, a młodzi złodzieje byli dumni ze zdobyczy i liczyli na podbój dziewczęcych serc. W tle cmentarz już ginął w zmierzchu, bo dopiero wtedy teren ogrodnika był opuszczony. Niestety świeże warzywa i zioła prosto z ziemi zniknęły z sąsiedztwa, a na ich miejscu stanęły nowe bloki, które nieco zmieniły krajobraz, ale nie zasłoniły widoku na „mój cmentarz”. Jedynie orkiestra rzadziej towarzyszy procesji na ostatni spoczynek.

W niektóre wieczory ktoś biegł na Szarlej do piekarni po jeszcze gorący chleb i chyba żaden z bochenków nie dotarł w całości do zamawiających. Ciepłe kruche piętki znikwały już w drodze z piekarni w ustach rozanielonych kurierów, a dalsze ubytki dodawali ci czekający na podwórku.

Przyzwyczajenie do widoku kamiennych nagrobków sprawiło, że poszukując własnego mieszkania, bez oporów stawiałam się jako kandydatka do lokalów położonych bezpośrednio przy murze cmentarza. To, co innym się nie podoba w widoku na zewnątrz, mi kojarzy się pozytywnie.

Chętnie wracam do spaceru po „moim cmentarzu”, acz z biegiem lat nie zawsze bezcelowo i spontanicznie. Coraz częściej dowiaduję się od przyjaciół czy z klepsydr lub Internetu o kolejnych ubytkach w kręgu znajomych. Zdarzyło mi się być niespodziewanie na pogrzebie byłej sąsiadki



zza ściany lub szukając konkretnego grobu, trafić na inną tabliczkę z szokującą informacją, a roczniki coraz bardziej zbliżają się do mojego. Jakiś rok temu chciałam złożyć spóźnione życzenia urodzinowe byłej sąsiadce na 90 rocznicę, ale zastałam tylko jej wnuka remontującego mieszkanie, który musiał mnie powiadomić, że kobieta zmarła kilka dni po tej uroczystości i jest pochowana na kalwaryjskim cmentarzu. Opisał mi dokładnie miejsce pochówku, a ja znów ruszyłam między kopczykami w poszukiwaniu wspomnień z przeszłości. W pobliżu świeżej jeszcze mogiły natrafiłam na inny grób – szkolnego kolegi mojej starszej siostry.

Najchętniej wędruję po alejkach samotnie, oddając się kontemplacji i urealnianiu otrzymanych smutnych wieści, bo nie muszę ukrywać łez przed innymi. Utrata bliskich zawsze jest trudna i chociaż staram się towarzyszyć zmarłym i pozostałym na ostatecznej drodze pożegnania, to coraz bardziej nogi się pode mną uginają, kiedy idę do celu, i trudno mi opanować szloch wśród przygnębionych członków konduktu. Wolę odwiedzić mogiłę później, porozmawiać ze zmarłym i w ciszy odejść. Kiedy przypadkowo zauważę na mijanych nagrobkach znajome nazwiska, łatwiej mi ochłonąć po uświadomieniu sobie ich śmierci. Najbardziej szokują fakty odejścia młodych i młodszych ode mnie, nawet po wielkim żniwie pandemii. Może i ja wrócę kiedyś na teren cmentarza podobnie...

Jednak więcej dawnych wspomnień związanych z „moim cmentarzem” u stóp kalwarii jest natury pomyślnej, a czasem nawet komicznej. Od dzieciństwa miałam go „na oku”



i wszystkie zabawy czy zajęcia odbywały się w bezpośredniej styczności z nim. Czy to w latach szkoły podstawowej, kiedy opiekowałam się noworodkami sąsiadów i woziłam je, pchając wózek przy ulicy tam i z powrotem (jakie zaufanie do może dziewięciolatki!) i zaklinając przy tym mrugające, niesprawne lampy skandowaniem: „lampa zgaś się, lampa zaświeć się”, czy kiedy naśladowaliśmy bohaterów *Czterech pancernych* podczas zabawy na podwórku w wojnę i czołg: dwie ławki ustawione jedna na drugiej przedstawiały pojazd, bojownicy wchodzili przez dziury bocznej poręczy, ja musiałam być Marusią, czyli sanitariuszką (choć nie chciałam grać pielęgniarki i – o ironio losu – zostałam nią w prawdziwym życiu), a kulisami był... cmentarz, czyli koniec walki dla wielu uczestników poważnych starć, nie tej gry podwórkowej. Prowiant podczas zabawy był dostarczany z okien przez przezorne mamy, wołające swe pociechy na kolację. Nasza mama nie lubiła, gdy brałam kanapki na dwór, ale robiła wyjątki, a ja chętnie dzieliłam się nimi z „czołgistami”.

Normalne obejście stanowiły dla nas kwiaty u ogrodnika, wieńce i świece na cmentarzu oraz jego części goście z konewkami, grabkami i wazonami. Znałam teren cmentarza dokładnie, dlatego więc jako kilkulatka, chcąc się zabawić „pampyrasą” (mieszką piasku i wody), nie udałam się po prostu w pobliże kopidoła, sama nie rozumiem, ale może właśnie chęć zachowania tajemnicy i szacunek dla zmarłych poprowadziły mnie z koleżanką wzdłuż muru cmentarnego do zabudowań kopalni „Julian”, pod górkę koło dawnej szkoły nr 4, przez ulicę (wtedy Buczka), aż do... studzienki!



Tam z namaszczeniem i fantazją oddaliśmy się mieszanii składników, formowaniu budulca i tworzeniu tamy na płynącym źródelku. Pracowałyśmy w pełnej koncentracji i zupełnie zapomniłyśmy o mijającym czasie, dopóki ciemniejące niebo i gorsza widoczność nie poruszyły naszych sumień. W międzyczasie po drugiej stronie góry sąsiedzi pomagali naszym rodzicom w poszukiwaniu uciekinierek. Jako że popołudnia na dworze najczęściej spędzałam pod oknami mieszkania, ta eskapada przeszła do historii z dzieciństwa. Na szczęście wszyscy odetchnęli z ulgą, gdy dotarliśmy do miejsca zamieszkania, i nie przypominam sobie, abyśmy otrzymały karę.

Z wiekiem zmieniałam zainteresowania, ale nadal miałam zaufanie rodziców. Chodząc chyba do piątej klasy, chętnie czytałam kryminały na ławce w parku, wtedy zapuszczonym, dzikim i źle oświetlonym. Niedaleko stał tak zwany wulc, hotel dla przyjezdnych pracowników z innych województw zatrudnionych w kopalni, a ci, oraz drobni pijaczkowie, korzystali również z dogodności tego miejsca. Z dala od rodziny i partnerek chętnie nawiązywali tam rozmowy lub spędzali wolny czas, nie szczędząc komentarzy otoczeniu. Wyglądałam dorosłej, niż na swój wiek, ale ignorowałam wszelkie zaczepki. Do kościoła też chodziłam już bez opiekunów i oczywiście przez obszar cmentarza. Chociaż należałam do parafii bazyliki, wołałam msze na kalwarii, a jako że ceremonie poranne odpadały ze względu na lekcje, uczęszczałam na mszę o 18.30 lub raz w tygodniu na mszę szkolną o 16. O tej porze częściowo już była „ćma” (zmierzch



lub szarówka), a po zapadnięciu zmroku trzeba było obejść cmentarz i z innej strony dojść do kościoła na górze. Jako dziewczyna mało łękliwa i nietrwoniąca czasu biegłam niekiedy na spotkanie z Bogiem w ostatniej chwili i nie miałam czasowej rezerwy na dłuższą trasę.

W jeden wieczór wyruszyłam z domu na kalwarię dość późno, więc wybrałam skrót przez cmentarz. Podchodząc do wrót dzielących go od parku wokół kościoła, zauważyłam faceta kryjącego za sobą ręce. Zrobiło mi się niewyraźnie, kilka dramatycznych scen skoczyło mi przed oczy, ale równocześnie zdałam sobie sprawę z tego, że idąc dookoła, nie dotrę punktualnie. Nikt mnie nie uczył zachowania się w takiej sytuacji, a jednak wybrałam chyba instynktownie prawidłową postawę i czujnie przyglądając się mężczyźnie, kontynuowałam trasę, nie tracąc go z oczu, i z podniesioną głową minęłam podejrzanego osobnika. Na następnym odcinku przyspieszyłam kroku, ale dwa razy się obejrzałam i rychło się okazało, że ten dla mnie niebezpieczny „bandyta” przyszedł, by zamknąć bramę. Mogło się okazać i skończyć inaczej, ale do dziś wierzę w mojego czujnego anioła stróża, który jest obroną częścią mojego życia i nigdy się na nim nie zawiodłam. Niejedna osoba podziwiała, czy podziwiała, mnie za odwagę, ale i rozważność, a ja mam może tylko prawidłową intuicję i doświadczenie pochodzące z wychowania przy cmentarzu?

Pamiętam jeszcze wydarzenie, gdy ktoś w naszej podwórkowej grupie opowiedział, że pewien rodzinny grobowiec się zapadł. Większość osób dopadł strach i nie reflektowała na wgląd w jego wnętrze. Ja, chociaż dystygowanie udałam



się na zwiady, odszukałam miejsce, o którym była mowa, bo ciekawość przeważyła. Mały stosik kości po zmarłym nie potwierdził rewelacji, raczej poczułam się zażenowana ludzkimi resztkami leżącymi na widoku. Może i ja kiedyś wrócę w tej formie na „mój cmentarz” i obejrzę okolicę z odwrotnej perspektywy...?